

ROZDZIAŁ I.

Urodziłem się w Mierzanowie, w ziemi płockiej, dnia 1 grudnia 1867 roku, jako syn ziemianina Faustyna i Stefani z Bojanowskich.

W Mierzanowie pozostawałem przez pierwszych kilka lat mojego życia, później przeniósł się ojciec do Klic, które odziedziczył po dziadku. W roku 1877 przenieśliśmy się do majątku Skierbieszów, w ziemi lubelskiej, który został zakupiony wraz z przyległymi do niego folwarkami, po sprzedaży Klic.

Ojciec mój brał czynny udział w powstaniu 1863 roku, jako dowódca oddziału partyzanckiego, pod pseudonimem Markiewicza. Pod Rydzewem, w ziemi płockiej, w walce zwycięskiej dla powstańców, zginął młodszy brat ojca, Jan; był on adjutantem swego brata, o dziesięć lat od niego starszego.

Po upadku powstania, przebywał ojciec przez cały rok w Dreźnie. Gdy wrócił z emigracji, był kilkanaście razy więziony pod groźbą rozstrzelania. Również dziadek ^{mój} Walenty brał udział w powstaniu 1831 roku.

Charakter mój odznaczał się dużą wrażliwością psychiczną, a już od najmłodszych lat okazywałem wielkie napięcia uczuć. Mocny mój temperament, z postępującym wiekiem, stawał się coraz bardziej opanowany.

Naogół robiłem wrażenie bardzo spokojnego chłopca, wybuchającym jednak silnie ^{Tylko} w chwili wielkiego podrażnienia. Granica ta, z dojrzewaniem, coraz bardziej się oddalała tak, że z czasem rzadko ^{mi} dawałem upust stanom moim emocjonalnym.

Wychowywałem się w nadzwyczajnej swobodzie, nigdy mną nie komenderowano. Stąd, zjawilo się u mnie bardzo wczesnie poczucie odpowiedzialności własnej; przyczyniło się do tego niewątpliwie wielkie zaufanie, x jakim się ~~do~~ mnie rodzice ^{dawali} odnieśli. Już jako dziewięcioletni chłopiec, odbywałem sam dalsze podróże kolejowe, a mieszałem jeszcze pod swoją opieką młodszego brata. Wyjątkowej rozwadze mojej zawdzięczałem zapewne, że, pomimo moich dziewięciu lat wieku, nie zabraniali mi rodzice uganiać samemu po polach z dubeltówką.

Duża siła fizyczna, która w naszym rodzie panowała, miała też pewien wpływ na formowanie się charakteru. Mając lat czternaście zabiłem pierwszego dzika, który ważył ~~średnio~~ ^{120 kg.} dziesięć kilogramów. Dzika tego, biorąc za nogi, podnosiłem na wysokość ławki. Dzięki tej sile, czułem się wszędzie bardzo pewny: W szkole średniej, będąc zawsze najsilniejszym w klasie, nie podlegałem terroryzowaniu i dokuczaniu kolegów; sam też ~~zaś~~ nie wykorzystywałem swej siły w stosunku do nich.

Te warunki, wśród których danym mi było wychowywać się w domu i w szkole, miały wielki wpływ na wyrobienie u mnie godności osobistej.

Bardzo już wczesnie, bo w pierwszej klasie gimnazjalnej, w Zamościu, zacząłem, z własnej inicjatywy, bez niczyjej namowy, walczyć z uciskiem rusyfikacyjnym zaborcy.

Było to podczas wojny rosyjsko-tureckiej. Po każdym zdobyciu twierdzy tureckiej, czy to Plewny czy Szybki, prowadzono uczni, w ogromnej większości rzymsko-katolickiego wyznania, na dziękczynne nabożeństwa do cerkwi prawosławnej. Wówczas to właśnie, już jako dziesięcioletni chłopiec, opierałem się temu przymusowi.

Każde tego rodzaju przewinienie, musiałem odpokutować; zamykano mnie w klasie, na kilka godzin. Była to dla mnie kara o tyle dotkliwa, że odsiadywanie jej, wyznaczano na dni wolne od zajęć. Nie zwracałem również uwagi na zakaz mówienia w szkole po polsku, za co również karano.

Gdy umarł ksiądz rzymsko-katolicki, skorzystano z tego skąpliwie i powierzono prowadzenie nauki religii w całej klasie duchownemu prawosławnemu. Pop rosyjski, chcąc zdobyć popularność w klasie, stawiał nam dobre stopnie, pomimo żeśmy przychodzili nieprzygotowani na lekcje. Z tej racji oczywiście żadnego konfliktu z władzami nie było. Gdy po upływie kilku miesięcy, przyszedł znowu ksiądz katolicki i zaczął stawiać duże wymagania, znalazło się dwóch chłopców z klasy wstępnej, którzy prosili władze szkolne o posyłanie ich na lekcje religii do popa. Ojcowie nawrócili jednak szybko swych synów, metodą dotkliwą, na wiarę katolicką.

Zrażony represjami szkolnymi, oświadczyłem rodzicom zaraz po przyjeździe na letnie wakacje, że do Zamościa nie wrócę, dalszą zaś ^{naukę} pobierać pragnę w Warszawie, w szkole prywatnej; nie chciałem być narażony nadal na konflikty z władzami szkół rządowych. Życzeniu memu stało się zadość.

W warszawskiej średniej szkole realnej, w której pozosta-
 Yem aż do jej ukończenia, miałem dużo czasu do wchodzenia
 w głąb siebie. Rozpocząwszy naukę znowu od klasy pierwsze^z
 przechodziłem z klasy do klasy z dużą łatwością, bez żadn^g
 pomocy pozaszkolnej. Ułatwiały mi w tem ~~duże~~ moje zdolnoś-
 ci matematyczno-przyrodnicze; natomiast co do nauk pamię-
 ciowych, to nie tylko natrafiałem na wielkie trudności,
 ale brakowało mi do nich także ochoty. Traktowałem je też
 po macoszemu i tylko tyle uwagi im poświęcałem, by nie
 być zmuszonym powtarzać klasy. Naprzykład, pomimo dużego
 wysiłku, nie potrafiłem nauczyć się wierszy na pamięć
 w tej mierze, aby je nazajutrz wyrecytować płynnie przed
 nauczycielem. Do tej perfekcji potrzeba mi było ^{paru} kilku dni,
 w czasie których musiałem je sobie powtarzać. Niejedno-
 krotnie też, z powodu tych trudności, o ile miałem większe
 zadania pamięciowe a istniało prawdopodobieństwo, że będ^e
 pytany, decydowałem się raczej pozostać na drugi dzień
 w domu i poświęcić ten czas na przemyślanie zjawisk ży-
 ciowych; dawało mi to dużo zadowolenia, a pozostawiony
 nawet dłużej własnym myślom, nigdy się nie nudziłem.

To omijanie w szkole średniej zadań pamięciowych,
 wytworzyło pewne braki w moim późniejszym życiu; miałem
^{duże} wielkie trudności w szukaniu formy wyrażania swych myśli
 w słowie i piśmie. Nie przychodziło mi to automatycznie,
 jak u wielu innych ludzi. Również naukę obcych języków,
 była dla mnie, z tych samych powodów, niełatwym zadaniem.

Za to miałem dużą łatwość przy studjach w dziedzi-
 nie nauk więcej ścisłych; nie polegając na pamięci, wyra-
 białem w sobie zmysł kombinacyjny, ułatwiający mi wnika-
 nie w głąb danej nauki. To zaś, wespół z wyrobieniem przez
 strzennego myślenia, miało później decydujące znaczenie

przy pracy naukowo twórczej.

Dzięki bardzo wczesnemu wyrobieniu w sobie pełnej samodzielności, poświęcałem już od pierwszych lat szkoły średniej, wiele czasu na wyrabianie w sobie różnych cech, koniecznych dla umocnienia mego charakteru. To też o ile w domu rodzicielskim mogłem korzystać z pełnej wolności i swobody, to później sam narzucałem sobie bardzo surowy rygor własny. Usłyszałem na przykład, że jedzenie ciastek zamula żołądek; to pomimo, że mi smakowały, przestałem je jadać. Będąc w trzeciej klasie przeczytałem, że twarde łożo hartuje; bezwzględnie wyrzuciłem materac i zacząłem sypiać na deskach przykrytych tylko prześcieradłem. A że byłem kościstej budowy, przeto leżenie przez szereg godzin na tego rodzaju posłaniu, było poprostu bolesne, a każda noc męczarnią. Zamiast pokrzepiającego snu, miałem tylko rodzaj drzemki, przerywanej ciągłymi przebudzeniami. Mordowałem się tak przez miesiąc w nadziei, że wreszcie się do tego przyzwyczaję. I nie wiadomo jakby się

skończyła ta próba wzmocniania charakteru, ~~organizm~~ protestował bowiem już mocno przeciw takiemu maltretowaniu, ~~gdyby mi~~ dopiero malaria, z bardzo wysoką temperaturą, ^{która} uratowała sytuację. Nie protestowałem już gdy mnie przenoszono na materac, a nawet miałem satysfakcję, że to nie ja zламаłem swoje postanowienie. Choroba była złośliwa, wracała kilkakrotnie i dopiero w 4 klasie pozbyłem się jej. Wierzyłem, że to nie lekarzom zawdzięczałem wyleczenie, a matce, która na wsi leczyła mnie piołunówką.

[Po tym co zaszło, nie wróciłem już do twardego łoża. Zawód jakiego doznałem w tym wypadku w hartowaniu woli, nie zmienił mojego stosunku rygorystycznego do siebie.

[W piątej klasie zaprzestałem gry w szachy, której

nauczył mnie ~~mój~~ ojciec, gdy miałem lat siedem i której potem wiele wolnych chwil poświęcałem, znajdując w tym dużą przyjemność. Po wyrozumowaniu, że przy pracy umysłowej powinno się szukać rozrywek fizycznych na świeżym powietrzu, zamieniłem szachy na Łódkę. Do tej pory w Warszawie rozrywek fizycznych nie uprawiałem. Jedynie w czasie wakacji^{posiłanych} na wsi, jeździłem konno i polowałem namiętnie w obszernych lasach skierbieszowskich.

Ojciec mój był bardzo gościnnie i lubił wytwarzać w okół siebie nastroje radosne mimo, że sam, od czasu powstania, nie mógł pozbyć się smutku. To też letnią porą zjeżdżali do nas goście z bliska i z daleka, a podczas każdorazowych wakacji szkolnych panował wszechwładnie gwar i wesołość w dworze skierbieszowskim. Odnosiło się wrażenie, że żadna troska niema tu dostępu.

W lutym 1885 roku przyjechałem do domu na ślub siostry mojej Zofii. Wesele odbyło się hucznie. Ponad 100 osób zjechało do Skierbieszowa; dwór był obszerny, więc ścisku nie było. Tańczono ochoczo i bawiono się do samego rana. Staropolskim zwyczajem wyprózniono kilkaset butelek węgryna, który ojciec stale beczkami z Węgier sprowadzał.

Pomimo to, że od szeregu lat, na każdorazowe imieniny gospodarza, odbywały się równie liczne zjazdy osób, bardzo gościnnie i suto podejmowanych, to jednak, dopiero po odbyciu wesela mojej siostry, zjawiły się u mnie głębsze refleksje, na temat uzewnętrzniania tego wielkiego dostatku domowego.

Ciekawe było, że już przedtym dobrobyt, który mnie otaczał, wytwarzał we mnie upodobania wprost odwrotne; skonkretyzowanie moich poglądów, nastąpiło jednak dopiero po uroczystości weselnej. Uświadomiłem sobie wówczas, że smak mój w formowaniu życia prywatnego odbiega zupełnie od tego

na co patrzyłem w Skierbieszowie, odpowiadało mi bowiem życie proste i skromne, a wszelki przesyt w jedzeniu i pićciu nie był w moim guście. Mieszkanie, które nie budziło żadnej zazdrości w otoczeniu, najbardziej mi dogadzało, - czułem się w nim dobrze. Uważałem natomiast, że gmachy publiczne, dostępne dla szerszej publiczności, powinny być stawiane z uwzględnieniem najwyższego piękna.

Z tych samych racji, nie nosiłem na sobie niczego ze złota i nawet wytworzyła się we mnie pewnego rodzaju próżność: bałem się, aby mnie nie posądził ktoś o tę słabość

Moja psychiczna wrażliwość w tym kierunku postąpiła w końcu tak daleko, że stałem się zupełnie obojętny na wszelkie posiadanie na własność czegokolwiek bądź cennego, jak na przykład pięknych dywanów, stylowych mebli, dzieł sztuki i t.p.

Po ukończeniu szkoły średniej, miałem znowu przykład rygorystycznego panowania nad sobą. Byłem zapalonym myśliwym. Razu pewnego, po zastrzeleniu sarny, podbiegło do niej małe sarniátko i odniosłem wrażenie, że żyje roni. I ~~ix~~ I to była kropla, która przelała kielich. Od tej chwili postanowiłem więcej nie polować, bo sądziłem, że należy uwolnić się od tej "dzikości" atawistycznej. Postanowienie swoje wykonałem i przez 40 lat nie strzelałem do zwierzęny. I dopiero, będąc Prezydentem Rzeczypospolitej, wziąłem znowu udział w polowaniu w lasach spalskich. Jako gospodarz, ^{musiałem} miałem obowiązek towarzyszyć licznym przedstawicielom państw zagranicznych, zaproszonym na to polowanie. Przy tej sposobności doświadczyłem, że w lesie na polowaniu nadzwyczajnie się odpoczywa, bowiem troski nie mają tam ^{nachrobis} dostępu do myśliwego.

Postanowiłem zatem powrócić znowu do myśliwskiego sportu. "Dzikość atawistyczna" nie przeszkadzała mi więcej, gdyż wiele lat upłynęło od ^aczsu, kiedy stosowałem trenning wychowawczy.